

Krzysztof Paczuski

**NARODZINY
ŚWIATŁA**

**Stowarzyszenie Literackie
KRESY**

Tegoż autora: *Polonez z różą w gardle*, Lublin 1978
44 sonety, Lublin 1980

Narodziny światła

UMIERANIE ŚWIATŁA

Krzysztof Paczuski

**Narodziny światła
i inne wiersze**

**Stowarzyszenie Literackie „Kresy”
Lublin 1992**

ISBN 83-900667-0-X



Biblioteka „Kresów”
Tom 2

ISBN 83-900667-0-X

UMIERANIE ŚWIATŁA

Tak krzepnie pąs. W pokutnym kręgu
powolne umieranie światła.

Zrudziałe strzechy mrowisk więdną:
popielnych świtów nadaremność
i zasinionych nocy atlas,
błam.

Smukleje pąk – strumienia suchość
krą zdrewnia się i w proch kruszeje.
Mgłom fioletowość, krwistość duchom,
struchłałym żyłom sądną skruchę,
nim rany śniedzią blizn spodleją –
tam.

* * *

Gaśnie światło. Po ciemku śmierć prawie nie boli.
Drzewo na mrozie strzela prosto w serce wiatru.
Księżyc fosforem czarne niebo zatrul,
w kotle wrzącej smoły płoną słupy soli.

Słońce zza chmur błazeńskie miny stroi.
Jeziora, sceny ogromnych teatrów,
zapełnią się cieniami, gdy blask skradną światła,
z otchłani straszliwy wynurzy się polip.

Gaśnie światło. Po ciemku nie poczujesz śmierci,
kiedy wślizgnie się cicho strużką noża,
między jedno a drugie uniesienie piersi,
z zimnej stągwi krwawy wyleje się pożar.

Gaśnie światło. Za chwilę zobaczę
ją. Z ganku biała stąpa – śmieje się i płacze.

Zajdzie słońce, lecz oczy nie ugrzęzną w mroku,
bo ogień zstąpi z ziemi, wody i powietrza,
pod nogami droga rozleje się mleczna,
stoczy się lawina gwiazd z niebieskich stoków.

Potem pośrodku ciszy stanie pusty cokół,
gdy ostatnia zgubiona znajdzie się owieczka.
Pasterz przed nią będzie modlić się na klęczkach,
łza, jak kamień młyński, zakręci się w oku.

Wzejdzie słońce, lecz w mroku pogrążą się twarze.
Dwie skrzyżowane szable znów ozdobią niebo
i nie spełni się nigdy ani jedno z marzeń,
które wiatr wiekuisty szepce czarnym drzewom.

Poleją się łzy czyste, a złośliwy karzeł
skieruje rzekę śmiechu w dolinę, na lewo.

JEZIORO CIERNI

Wśród lasów, jak w mogile śpi jezioro cierni,
w jego tafli się gniew srebrnikami odbija.
Wody z ogniem w tym miejscu trwa odwieczna przyjaźń.
Tu niejeden sen tonął, niejeden się spełnił.

W srebrnym sitowiu kilka szkieletów się czerni,
to łodzie uwikłane w swój ostatni wyjazd
spoczęły tam, gdzie mroku wynurza się szyja,
by połknąć krajobrazów przypalony piernik.

Kiedy się stanie światłość, która się nie stanie,
i gdy zdobędziesz mądrość, której nie zdobędziesz,
przetrawsz milczeniem głązów, rzuconych na szaniec,
złorzeczeniem proroków stawianych pod pręgierz.

Lecz choćbyś poznał mowę ludzi i aniołów,
dokończ w jeziorze cierni bezowocny połów.

LOT

W tunelu nieba droga bezbolesna krwawi,
bezdźwięcznie, bezbarwnie przepływa przez palce.
W piersi biją dwa serca – z Goliatem Dawid
usypują dwa kropliste szańce.

Przedzieram się, łykam mroźne chmury,
ciałem wypełniam przestrzenie.
Wosk topi się u ramion i pióro za piórem
wirując, ziemię przepętniają drżeniem.

Fala niebieska piersi zalewa ciszą.
Żaden ptak tej muzyki nie pojmie.
Szarżują na mnie deszczów jesiennych derwisze –
raz Scylla, raz Charybda zbliżają się do mnie.

Wielbłądy łądów, wyspy, raf kameleony
rozpaczy skrzydeł nigdy nie usłyszą.
Za chwilę znów się złączą śmiertelną koroną
obie półkule życia: Sancho i Don Kichot.

JUDYTA

Wieczorami Judyta potajemnie płacze.
Już od lat jest to dla niej jedyna przyjemność.
Codziennie spazm rozkoszy przeżywa inaczej,
potem znowu, jak kiedyś, jest jej wszystko jedno.

Przed snem modli się głośno. Barbarzyńskie imię
wymawia z obrzydzeniem i pluje do ognia.
Na koniec patrzy w lustro: nie przestała siwieć.
Kto odrąbał mu głowę – ofiara czy zbrodniarz?

HOLOFERNES

Betulia oblężona mocarnym ramieniem
drży z rozkoszy i bólu, z gniewu i zachwytu.
Zmierzch zbrodnią i przemocą bandażuje ziemię.
Gaj rozbrzmiewa litanią skowytów.

W namiocie wodza cichnie oliwny kandelabr,
i rzemiennych sandałów bolesne skrzypnięcie.
Zrzuciła suknię. Jak słodko umierać.
Za całą noc miłości tylko śmierć, nic więcej?

ABIGAIL

Nie cierpiąca, by cierpieć zbyt była roztropna.

Z uśmiechem kryła w sercu perły upokorzeń.

Kochała swoje ciało i swoją samotność.

Pan widzi jej pokorę, nagrodzi być może.

Nie myślała o szczęściu, nie pragnęła władzy.

Myśli o Nienazwanym budziły w niej trwogę.

Sprawiedliwość ocalić, to nieprawość zdradzić.

On szedł na czele wojska. Zabiegła mu drogę.

MEDEA

Nie płaczesz – to wyrok wydany dla nocy,
nic nie mówisz i słusznie, no bo nie ma o czym.
Kochasz gwiazdy, a przecież masz zbyt długie rzęsy.
Nie całujesz, choć biegle znasz aniołów język.

Patrzysz, jakbyś pieściła ukradkiem tygrysa.
Nie lękasz się Otella, pogardzasz Odysem.
Ale dla mnie zachowasz perłę łzy ze skazą.
Skąd wiesz, że we mnie kona zrozpaczony Jazon.

MARSJASZ

Przytroczony do gwiazdy, odarty ze złudzeń
śpiewa, choć słony wicher parzy nagie ciało.
Głos wyśmiany przez bogów, opluty przez ludzi –
w krwawym marmurze kuta samotność i małość.

Niech cierpi skoro hardy podniósł głos na bóstwo.
Wobec rydwanów ciszy mógł zaprzeć się tonów.
Straszny śpiew, urojony w wiolinowych lustrach,
zdarł z oprawcy klasyczną tonację chitonu.

Sztuka nie przetrwa kaźni – kaźń pieśni zna dłuższe.
Lecz jeśli Bóg, co lutnię nastroił tą śmiercią
istnieje, niech Marsjasz przemieni się w muszlę.
Muszla tę pieśń przeklętą wypłacze z zakłęcia.

ŚMIERĆ KAMELEONA

Jesteś żądzy psem czarnym o ognistych ślepiach.

Dłoniom Fausta uległa, kolor sierści zmieniasz.

Pigmalion cię o świcie z gliny snu ulepił.

Pan na fletni wyplakał, Thor odkuł z kamienia.

Krwi atlasem się śnieżysz, broczysz mgły lawiną.

Tak szorstka jak grań chleba, tak gładka jak woda.

W twych oczach przerażonych trwa sów nocny synod.

Z sukni włosów cię płomień bezlitosny odarł.

Goreją kości z jękiem potrzaskanych skrzypiec.

W retorcie alchemika każń strzyg i czarownic.

Zanim tęcza twej skóry w widmo się rozsypie,

chciałbym zdążyć ból oczu we krwi twojej obmyć.

NAD STAWEM NIEMYM

Wpatrzony w skał mimikę, w pantomimę krzewów,
zasłuchany w przesadną fal artykulację –
w wodę wielką i czystą zarzucam słów niewód,
arkan uniwersaliów, poetykę natchnień.

Drabiniaste wiatr wozy przetacza po niebie,
srebrzystym sianem deszczów spełnione po brzegi.
Po gładkiej skórze stawu bolesny skurcz przebiegł.
Tajny wystannik słońca wzeszedł na przespiegi.

Rozlał blask tłustą plamą po powierzchni wody,
na drugim brzegu chwilę skrył się za świerkami.
Rybią łuską iglasty prześwituje środek,
szkielety łądzi sterczą dziobami piramid.

Księżycom mrok szpiegować, przed burzą strzec ptaki,
w trawach pełnych gniazd ciepłych, tropić ślady wilcze.
Stawom trzeba się czernić i gwiazdy zatapiać,
a mnie w pokorze milczeć.

TREN CZAROWNIC DLA KRÓLA MAKBETA

Odrąbany czerepie, w śmiertelnym wytrzeszczu
przekrwionych żądzą ślepiów, stygnie wyraz drwiny.
To niewczesna świadomość, rodzaj trupich pieszczoł,
albo mistyka zdrady. Śmierć największym mimem.

Zbrodniarz znajduje azyl w gwałtownej agonii,
kat przeciwnie – w zbrodni szuka odkupienia.
Szczęśliwy, kto w czas zgonu zapomina modlitw.
I na cóż by się modlił, gdy w szczęściu umiera.

Okpiłeś nas Makbecie. W pałacowych blankach
birnamski las prastare konary roztoczył.
Duncan mściwym mieczem swojego bękarta,
zmienia wyroki piekieł i historię Szkocji.

Kat i zbrodniarz fałszują kwestie w swoich rolach.
Czerń obu zamknie usta goryczą obola.

ARGONAUCI

Jedźmy tam, gdzie wciąż ślepe bacie szarą sierść suszą,
gdzie wilczyca najwcześniej poda pierś romulusom,
dokąd okręt nasz chybki pod żaglami tęsknoty
płynie z ptactwem, by zdążyć, nim przebudzi się motyl.

Znajdźmy liść zeszloroczny, snem pachnący zimowym,
z prądem rzek, aż do źródła, wróćmy zacząć od nowa.
Trzeba pomóc leszczynom liście z pąków wyłuskać,
z jezior krę powyławiać, chrust ususzyć na chustach.

Dłoń przypomni szum lasu i smak kory na drzewach.
Znów będziemy kamyki złote z butów wylewać
i w kałużach patyków śledzić wczesne regaty.

Wiatr przez pola, ku skałom niesie wiosny wiatyk.
Więc ruszajmy, dym ściernisk za chmurami pofrunął –
trzeba chronić przed nocą blasku dnia złote runo.

DOLINA CEDRONU

Pod powiekami gasną słoneczne witraże –
drobinki krwi promieniem białym rozproszone.
Przyspieszonego pulsu błękitnawy dzwonek
gra w przestrzeni skrzydłami bezszelestnych ważek.

Siano wzdycha zapachem czterolistnych ponęt.
Nad głową – kumulusów amfiteatr marzeń –
brawami mew rozbrzmiewa. Wiatr, szalony karzeł
chichocze, sypiąc garście topolowych monet.

Leżymy blisko siebie – ja i cień mój. W dłoni
czuję biel tłustej ziemi – mroźną skórę szronów.
Dzień żółknie jak stronice zakłamanych kronik.

Pod głazem nieba – płaskie oddychanie stonóg
wyznacza jednostajnie początek i koniec,
beźmiar, bezkształt i bezsens Doliny Cedronu.

MINĘŁO LATO

Minęło lato. Urwało się nagle,
jak śpiew skowronka, albo bicie dzwonów.
Nim kosę zgrzaną chłop wsparł o pień klonu,
wnet woda dzbanem stanęła mu w gardle.

Już studnia groźnie zadudniła wiadrem
i zwiędło wszystko: liście, strzechy domów,
bluszcz stał się kablem od piorunochronu,
razowiec kłosem, a koszula żaglem.

Minęło lato. Wicher szedł od rzeki,
z kościelnym dziadem w poszarpanych gaciach.
Spod nóg, nad pola, sączyła się mlekiem
mgła – mroczna zjawa – łąkowy przyjaciel.

Minęło lato. Mimo tego zgonu,
kosa wciąż stoi wsparta o pień klonu.

„HOW LIKE A WINTER HATH MY ABSENCE BEEN”

Pomiędzy nami sen – polarnej nocy koszmar.
Bez troski, lecz nie ten, jakiegośmy żądali.
Wypity z oczu blask bezksiężycowych poświat
i kości mroźny trzask – nakarmić ma koszmary.

Pomiędzy nami krzyż otumaniony śniegiem
i puls lodowych nisz – wystygły trupi przegub.
Wśród stalagmitów łez, grudniowy stąpa regent
i butem biały bez w skrwawionym grzebie śniegu.

Pomiędzy nami los: bezdomność i rozłąka,
i pełen wichrów trzos, pod zamrożonym słońcem.
Niech umrze las, niech szron zagości w pąkach,
wszak one w każdy czas zbyt bliskie są rozłące.

Pomiędzy nami strach, jak w twardej muszli ślimak
i bezsilności piach – pomiędzy nami zima.

FIKCJE

Noc oswaja oczy garsteczką popiołu.

Oswojonym wargom łatwiej jeść z jej ręki piołun.

Uszom oswojonym ciszę, a dłoniom samotność

łatwiej dźwigać. Oswojony pozwala się dotknąć.

Puste miejsca pieścżą czule, nieme słowa szepczą,

z mgieł wymyśla się bezmyślnie niczyja obecność.

Twarz niczyja, oddech lustra, zapach melancholii,

grzech zmyślone we śnie ciało pozwala zniewolić.

Nieobecny, niespełniony, nie spotykany świecie,

wiem na pewno, że istniejesz, choć cię nie ma przecież.

NOC BEZSENNA

Śni mi się, że jak niegdyś, znów baśń opowiadasz.
A ja słucham, w mrok patrząc, tłumiąc żal, lecz milcząc.
Uszy, jak dwoje nocą wygłodniałych wilcząt,
chłoną szept tajemniczy. Znowu w sen zapadam.

W tym śnie widzę, że ku mnie przez bagna się skrada
karzeł. Odejdź! Stracony chcę być pojedynczo!
Odwracam się, a za nim kroczy Nowosilcow.
Bagno tonie w Makbetach, Faustach i Konradach.

Śni mi się, że się budzę, lecz ktoś szepcze: zaśnij.
I czuję sen, jak kroplę miłości w złym świecie.
Do uszu docierają słowa znanej baśni.
I nie chcę się obudzić. Miłość to sen przecież.

Życie to noc bezsenna. Nigdy nie odeśpię
w życiu snów o miłości, a miłości we śnie.

OKŁAMAĆ LUSTRO

Jedno oko gra scherzo, swawolne jak trefniś,
a to drugie pochmurne – nic mu się nie śni.
Pierwsze rozchyła rzęsy, wpuszcza zimne słońce.
Tamto kryje na dnie gniewu łzę piekącą.
Brew nad okiem śmiechu, jak śmiały lot ptaka,
lecz naprzeciw bór groźny i cień wilkołaka.
Podobnie usta – szeptu przedzielone palcem –
raz uległe, raz wąskie, zaciśnięte w walce.
Lewa ręka chce tulić, prawa w pięść się zwija,
piers zimna – tę gorącą milczeniem pomija.
Przedziałek – włosy prostą linią Maginota
oddzielać ma czerwone od białego złota.
Dźwięk w prawym uchu dźwięczy, w lewym na złość zamilkł
i plecy odwrócone do siebie plecami.
Myśli także w oddzielnych zatopione myślach:
jedna płocha, a druga bez przerwy przemyśla.
Komory serca wcale z sobą nie gadają.
W lewej motyl i róża, w prawej sieć i pająk.
Tylko na czole białym jedna mała linia
nie ma przeciwniczki, chociaż mieć powinna.
Już słyszę, jak się złościsz: „zmarszczka, czyś oszalał!”
Złap ją w pułapkę lustra. Kryształowa fala
ukoi asymetrię – w prawą wpłynie lewa.
Więc zdmuchnij z lustra zmarszczkę i już się nie gniewaj.

DYM

Pomiędzy nami obcość ciał, ocean spojrzeń.
A dalej ta z najdalszych dal z papieru, który chcemy podrzeć.
Drżenie rąk, nieodgadnione, mimowolne,
pozornie roztargniony wzrok i kwef dialogów niespokojnych.

Szukamy ładu, aby wpływ dotrzeć do niego i oszaleć.
Paść obok siebie w ciepły piach, kochać się i nie myśleć wcale
o zgrozie ciszy, o niedotęświe warg i ramion,
o oczach z prześwietlonych klisz, które śpią jak kamień.

Siedzimy sam na sam pozatapani w głosach.
Wielcy marzeniem ponad stan, złączeni dymem z papierosa.

CZARNY WĘZŁ

Kto mnie widzi, kto ze mną i o czym rozmawia,
nie śpi przy mnie i nie chce koniaku mi stawiać,
ma szansę z moim cieniem barany chmur pasać,
konie kraść lub wywołać wilkołaka z lasu,
we mgle odnaleźć drogę fałszywych zachwyceń,
zadrwić lub się podzielić czyjąś tajemnicą.
Ale nigdy z kimś takim nie będę do końca
związany, jak promienie czarnym węzłem słońca.

NA ŚMIERĆ LALKI

Śmiech? Przecież naprawdę umarłaś,
porzucona, wzgardzona przez karta,
który miłość przyrzekał dożgonną.

Płacz? Przecież bawiłaś się zawsze
pieszczotami skrytymi pod płaszczem,
a tu dzisiaj dla ciebie podzwonne.

Obojętność? W oczach z plastiku
płoniesz od szeptów i krzyków,
choć krew twoją wysał Drakula.

Wzgarda? Już nie umiesz inaczej,
wolna od śmiechu i płaczu
– bo od dawna cię nikt nie przytulał.

FETYSZ

Nakłuta szpileczkami woskowa laleczka
śni, cudzych uśmiechów kołysze ją hamak.
By przechytryć cierpienie, zasnęła na klęczkach.
Może schyliwszy głowę, chciała jęknąć: mama

W ciele sny, nakłute promieniami jawy,
wiodą wojny zwycięskie nad rzeką pamięci.
Trwa sabat czułych wyznań i przekleństw konklawe,
koronują oprawców lub wieszają świętych.

Płynie w żyłach śmierć dobra, morfina i psalmy:
korowody żebraków, zagrabione łądy,
uwięzieni w bastyliach, jak ból niewidzialnych,
tam, gdzie niebo usiane gwiazdami i trądem.

Źrenice niewidzące, jak bok przebodli,
wargi wieczną skargą opieczętowali.
Nogi i ręce, skute różańcami modlitw –
bezsilne – trzeba łamać i na stosie palić.

Nie uchronią przed światem spuszczone rolety.
Zanim oczy się wprawią w udanych ucieczkach,
w studni oddechu splotnie pulsujący fetysz:
nakłuta szpileczkami, woskowa laleczka.

BILBOQUET

Czy mojej samotności wystarczy na dwoje?
Przez ból osieroceni, w oddzielnych pokojach,
jak w dwóch komorach serca, stukamy przez ścianę.
Mały Książę ze swoją różą herbacianą
bawi się bilboquetem. Serce trafia w pierścień,
płynąc po trajektorii, ociemniałym rejsem
światlika. W zbroję żeber pozwala się zakuć
i tka, jak obłąkany pogromca wiatraków.

Bilboquetem się można bawić aż do świtu,
ból popijając marzeń cierpką okowitą.
Można pytać, spełniając nie spełniony kielich,
czy skąpić samotności, czy się nią podzielić.

PAMIĘCI TYCH, KTÓRZY PADLI, IDĄC PO TRUPACH

Krew Abła znowu lśni na mlecznej drodze.

Zanim ostygnie wychłepcą ją wilki.

W sercu ból prędko jak ułknięcie szpilki

lża samotna wysycha na brodzie.

Przez ten czas, bracie, wielkim będziesz wodzem.

Nie powtórzą fatalnej pomyłki

ci, co z twej łaski uniknąwszy zsyłki,

jak psy posłusznie kroczą przy twej nodze.

Lecz spójrz, znów koło fortuny zawraca

i znów skrzywdzeni będą ludzie prości.

Zanim świt zacznie horyzont wyłacać,

kołem tym brat twój zgruchoce ci kości.

Nim słońce zatonie w głębinach,

raz jeszcze sztylet przemówi Kaina.

DUMANIE W DZIEŃ ODJAZDU

(WALETA)

Jasiowi

*„Quid aeternis minore
Consiliis animum fatigas”*

Pośpiech kłęczy przed progiem. Nasłuchuje zwierzeń.
Czeka na żal. On zawsze przychodzi najwcześniej.
Brzask nie wyjaśnia matni poplątanych ścieżek.
Jeszcze nie czas odjazdu, a już nie czas pieśni.

Modlimy się do obcych wyobrażeń Boga.
Opróżniamy kieliszki, napęlniamy serca.
Tarzamy się ze śmiechu w rozkopanych grobach.
To co przyjdzie nie musi naszych słów potwierdzać.

Noc taka jest topielcem zaczepionym w trzcinach.
Lada chwila nurt rzeki porwie i powlecze
wraki wspomnień – rozmiękle szarości Lublina.
Samotnością tak trudno z miłości wyleczyć.

Bałwochwalczy Bachusa, bezsenni tytani
w pół słowa odstawiamy ostatni kieliszek.
Jeśli jest coś trwałego, to chyba rozstanie:
zbyt wczesne, choć za późno, głośniejsze, choć w ciszy.

Żądamy od umysłu wyczynów bez granic,
choć sił nam nie wystarcza, by zabić tęsknotę.
Przez wieczność potępieni i na czas skazani,
odkładamy wczorajsze misteria na potem.

Żegnaj. Mądrość skazańca streszcza się w wyroku.
Jeszcze nie odjazd, ale za późno, by stanąć.
Pożegnanie nie cichnie razem z dźwiękiem kroków.
Żeby zapomnieć – trzeba, by nas zapomniano.

i 1989, 29 Octobra, Lublin

ELEGIE

1

Świeca spala oddechy, westchnienia i słowa.
Schną róże, brunatnieje od dymu jemiola.
Bładość gwiazd wsiąka w werniks odstłoniętych okien.
W ciemności srogich sprzętów łagodnieją stoki.
Jest cisza, taka cisza, jak kiedyś przed rokiem.

2

Mój spokój mieszka w mroku. Twoje oczy pachną
snem, dla którego zawsze chciałoby się zasnąć.
Twarz oparłaś na dłoni. Milczysz. Mały palec
przekracza w nieskończoność rzekę warg wytrwale.
Myślisz o mnie. Odchodzisz, jak można najdalej.

3

Ból to jest odrobinę mocniejsze dotknięcie.
Dlaczego niedotknięte miejsca bolą więcej.
Metafizyka pragnień, hipochondria sumień,
mistyka wątpliwości i nieporozumień.
Kochasz mnie? Ja wiem wszystko, lecz nic nie rozumiem.

4

To jest fortepianowy koncert Beethovena –
czwarty G-dur. Na wszystkich niewidzialnych scenach
trwa dialog czułych zaklęć z bezlitosnym prawem
faktów, obojętności, mądrości. Ciekawe,
kto to grał? Tak myślałaś. Powiedziałaś nawet.

5

Przekraczamy granice. Palisz papierosa.
Przy wydechu rozniecasz iskierki we włosach.
Mówisz to, co nadaje się do powiedzenia.
Słowa kryjąc w półtonach, północach, półcieniach.
Zagrajmy w szczerość. Nie mam już nic do oclenia.

6

Pustą butelkę można położyć na stole,
aby wysączyć chwilę. Teraz moja kolej.
Wyrzucam dwa najszczęszone pod słońcem pytania.
Leżymy obok siebie w odświętnych ubraniach.
Nad nami chmury, ptaki i chęć zmartwychwstania.

7

Świeca cichnie. Gorące lzy kapią na obrus.
Świt się dziwi twojemu nieśmiałemu dobru.
Zmyj makijaż. Na schodach słyszać obce kroki.
Dwa gołębie symbolem przymarzyły do okien.
Jest cisza, taka cisza, jak kiedyś przed rokiem.

NAD RANEM. KOŁYSANKA

Nie bój się miła, śmierć przyjdzie na pewno,
by opiekuńczym otoczyć ramieniem
wszystkie złe myśli: śmiech, płacz i znużenie
i świt złowrogi, i żelazną ciemność.

Nie bój się. Mówisz, że dni wolno biegają,
że czas beczasem upił się i drzemie.
Z drzew już wycesał wiatru mokry grzebień
ostatnie liście. Śmierć przyjdzie na pewno.

Śpij, miła, we śnie upadną reżimy,
a wolność rosą zabłyśnie na łąkach.
Z banicji wrócą zapomniane rymy,
by zdradę z kłamstwem postawić do kąta.

Tymczasem uśnij, Śmierć przyjdzie tej zimy.
Spójrz, oto ona z ganku biała stąpa.

SZEPT

W fiordach bladuróżowego ucha
błądzi szept – okręt marzeń.
Smutku niedbale odstawiony puchar
wyływa z mroku i zaczyna szarzyć.

Za chwilę oswobodzisz dłonie,
poprawisz włosy, założysz koszulę.
To będzie nocy najwłaściwszy koniec
z ciepłym, trochę nieświadomym bólem.

Błyśnie zapalka i pomyślisz,
że chyba nigdy nie kochałaś dotąd.
Świt wydał nowy edykt o banicji.
Tego się bałaś i prosiłaś o to.

Więc tak wygląda wyzwolenie ciała.
Ukryte w płynnych i bezwiednych ruchach?
Czy przetrwa chociaż to co wyszeptaaś,
gdzieś w fiordach bladuróżowego ucha?

NARODZINY ŚWIATŁA

Świt zraniony wróblim śrutem
słania się nad groblą szklanki.
Żyły światła z chmur wyprute
ssałby jeszcze nocny wampir.

Lont dopala się. Papieros
do prochowni snów się wdziera.
Obłąkany jawą Neron
chce podpalić miasta teatr.

Okna pełne ślepych oczu,
oczy w świeżych bliznach.
Ból przetacza ranny pociąg
przez zwodzony serca pryzmat.

Twórca alchemicznych recept,
imperator obcych planet –
dzień – zapala włosy świecom,
z nie otartych łez odlanym.

SPIS RZECZY

- 5 Umieranie światła
- 6 *** *Gaśnie światło. Po ciemku śmierć prawie nie boli...*
- 7 *** *Zajdzie słońce, lecz oczy nie ugrzęzną w mroku...*
- 8 Jezioro cierni
- 9 Lot
- 10 Judyta
- 11 Holofernes
- 12 Abigail
- 13 Medea
- 14 Marsjasz
- 15 Śmierć kameleona
- 16 Nad stawem niemym
- 17 Tren czarownic dla króla Makbeta
- 18 Argonauci
- 19 Dolina Cedronu
- 20 Minęło lato
- 21 „How like a winter hath my absence been”
- 22 Fikcje
- 23 Noc bezsenna
- 24 Okłamać lustro
- 25 Dym
- 26 Czarny węzeł
- 27 Na śmierć lalki
- 28 Fetysz
- 29 Bilboquet
- 30 Pamięci tych, którzy padli, idąc po trupach
- 31 Dumanie w dzień odjazdu (waleta)
- 33 Elegie
- 35 Nad ranem. Kołysanka
- 36 Szept
- 37 Narodziny światła

Wybór i układ wierszy:
Andrzej Niewiadomski

Przygotowanie do druku:
Grzegorz Filip

Skład i łamanie:
Studio Grafiki Użytkowej S.C. Lublin

Druk:
PETIT S.C. Lublin

Wydawca:
Stowarzyszenie Literackie „Kresy” w Lublinie

Książka wydana przy pomocy finansowej
Wydziału Kultury Urzędu Miejskiego w Lublinie
i Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie

© Krzysztof Paczuski
Stowarzyszenie Literackie „Kresy” w Lublinie

Stowarzyszenie Literackie „Kresy” powstało w Lublinie w 1990 roku. Celem jego działalności jest między innymi sprzyjanie rozwojowi twórczej myśli i jej wymiany, obrona wartości kultury i tradycji kulturowej. Tworzymy warunki sprzyjające obiegowi wartości, popularyzujemy ambitne, oryginalne zjawiska literackie i ich twórców.

Podstawową formą realizacji tych celów jest wydawanie Kwartalnika Literackiego „Kresy”, który istnieje od 1989 roku. Biblioteka „Kresów” to kolejna inicjatywa Stowarzyszenia. Ukazują się tu książki nigdzie indziej nie publikowane. Tom niniejszy jest drugim z tej serii.

Kolejną książką będzie zbiór wierszy Andrzeja Niewiadomskiego *Panopticum*.

Pierwszy tomik Biblioteki „Kresów”:

Wacław Iwaniuk, *Moje obłąkanie*, Lublin 1991

WSEK

Biblioteka „Kresów” 2

ISBN 83-900667-0-X